

„Barwa czereśni”

Drzwi otworzyły się z niespodziewanym impetem, a kilka głów mimowolnie obróciło się zaalarmowanych donośnym trzaśnięciem. Do wnętrza wgramoliła się zgraja w szarych i zielonych mundurach obciążona plecakami większymi od nich samych, licznymi tobołkami, a nawet jednym, jedynym kociołkiem dyndającym na wetkniętym pod klapę plecaka, znalezionym zapewne po drodze, kijku. Grupa dla zwyczajnego obserwatora mogła prezentować się nadzwyczaj osobliwie, tutaj jednak nikt nie wydawał się być zdziwiony. Częstym widokiem były podobne hordy identycznie ubranych osób, których wiek również był zbliżony do tych tutaj. Zupełny miszmasz, począwszy od małych brzdąców, zwanych przez ogół zuchami, poprzez wyrośniętą, tyczkową młodzież, a kończąc na nielicznych dorosłych. Wszystkich jednak łączyło to samo. Mimo zmęczenia i trudów wędrówki, mimo potu spływającego po czole, zachowywali pogodę ducha, a mruków i marudy obrzucali karcącym spojrzeniem, pełnym jednocześnie politowania, a może i również czegoś, co miało pocieszyć zasępienie dzieciaki.

Popadali na długie ławy jak umęczone leśne żuczki przewrócone na grzbiet i całkiem już bezsilne. Menażki zagrały marsza, gdy ogromne plecaki pozsuwały się z umęczonych pleców i gruchnęły zapomniane o powycieraną ze starości podłogę. Ktoś już nawet zaczął wyciągać gitarę, co zostało powitane z jednej strony pomrukami zadowolenia, a z drugiej wywracaniem oczyma i uwagami na temat tego ciągłego zawodzenia. Rudowłosa dziewczyna w skautowym kapeluszu uśmiechnęła się pod nosem i podeszła do mebla, który swym wyglądem przypominał restauracyjny bar. Za nim stała bowiem kobieta w średnim wieku o isticie rubensowskich kształtach i życzliwym wyrazie rumianej twarzy.

– Czuwaj! Tak się wita po waszemu, prawda? – przywitała ją pytaniem właścicielka schroniska, opierając łokcie na blacie i wpatrując się w dziewczynę swymi malutkimi jak paciorki oczyma.
– Tak, dokładnie tak. Czuwaj! – odpowiedziała mile zaskoczona, a piegowata twarz rozchmurzyła się jeszcze bardziej, prawie nie było widać nań zmęczenia. – Przechodząc do sedna, nasi harcerze są już prawdopodobnie niewiarygodnie zmęczeni, jak zresztą widać...

Czyjaś głowa opadła właśnie na blat jednego ze stołów w akompaniamencie pochrapywania i śmiechu kilku osób siedzących obok.

– Jakbyśmy mogli przenocować... Sama pani widzi jak się już słaniają na nogach, nie zdołamy wrócić na stanicę...

– Nie ma o czym mówić! – przerwała jej impulsywnie rozmówczyni. – Dzieciaki ledwo żyją, ale cóż, takie są te nasze góry. Rozłóżcie się w tej izbie, jest największa. Niech kilku chłopców pójdzie ze mną, to pokażę wam, gdzie można urządzić ognisko, bo jestem pewna, że chciałaś o to spytać! Ja już znam takich jak wy! – zaśmiała się.

Ogień palił się jasnym płomieniem, śląc w gwieździste niebo snopy iskier. Chłopak w okularach stroił gitarę, ale to nie ona była wtedy najważniejsza. To świerszcze wygrywały najpiękniejszą melodię na swych zielonych skrzypcach. Wszystkim było jakoś dziwnie lżej na sercu, gdy nad głowami szumiał las, a góry piętrzyły się, groźnie patrząc na nich, tak malutkich w porównaniu do tego wszystkiego, co ich otaczało. Nawet największym miłośnikom śpiewogrania nie była wtedy potrzebna piosenka. Melodia gór była tą dzisiejszą pieśnią obrzędową. Wtedy jednak ktoś jeszcze dosiadł się do ogniska obok rozanielonej, jak się okazało, pani Jasi, która przyjęła tę harcerską gromadę w swoje progi i otoczyła troskliwą pieczę. Nieznajomy usiadł na jednym z pniaków. Nikt nie pytał, skąd się wziął. Na twarz poraną czasem zsunięty miał kapelusz z dużym rondem i wetkniętym weń prawdopodobnie bażancim piórem. Widać było, iż jest miejscowy:

– Wygląda jak rasowy zakapior bieszczadzki! – szepnął kędzierzawy zuch zaaferowany widokiem człowieka, który wyglądem przypominał tych z wczorajszej gawędy druha. Jego dziecięcy głosik wybrzmiał jednak dziwnie dobitnie, gdy nagle wszyscy umilkli.

Przybysz uśmiechnął się pobłaźliwie, lecz z jego twarzy dało się wyczytać, że chłopiec nie pomylił się ze swoim stwierdzeniem.

– Wydało się! – oznajmił, żartobliwie splatając dłonie w charakterystycznym geście. – Nie martwcie się jednak, nie jestem z tych, którzy uciekali przed wymiarem sprawiedliwości. Chyba po prostu uciekłem tu przed życiem – wbił zamglone spojrzenie w ogień. – Dziś serce ogniska ma barwę czereśni.

– Czereśni? – zdziwił się ten sam zuch, nie zważając na kuksańce kolegów, którzy ewidentnie chcieli powstrzymać małego od zadawania pytań. Spojrzał nań oburzony wielkimi oczętami i prychnął cicho, dając do zrozumienia, że będzie mówił, co mu się żywnie podoba. Miał przecież już dziewięć lat. Dziewięć lat to bardzo poważny wiek! Idealny, by móc zadawać pytania i wchodzić w dyskusje z bieszczadzskimi zakapiorami, a tak przynajmniej uważał Maciuś, gdy uniósł się na piętach i wbijał w męczyznę ciekawskie, rozbiegane spojrzenie.

– Tych letnich czereśni, tych najsmaczniejszych, najśłodszych... – mówił starzec, nie odrywając wzroku od ognia. – Tych, które przywodzą na myśl te młodzieńcze lata. Pamiętam, że za mikrusa mieszkałem nad morzem... – O, macie bursztynowe chusty. Ja miałem zwykłą, czarną. Nic nie było w niej szczególnego. Ja sam nie byłem szczególny. Wtedy jeszcze byłem wysoki i miałem trochę więcej włosów na głowie niż teraz, a jednak mniej kłopotów. Spójrzcie, im mniej włosów, tym więcej wątpliwości, tym bardziej nie wiadomo, co robić, gdzie iść, paradoksalne. Ale wtedy jeszcze wiedziałem, a tak przynajmniej myślałem w tej mojej małej nieszczególnej głowie. Też kiedyś miałem mundur, trochę inny, ale podobny, dużo się zmienia, na ironię. Na zbiorkach jedliśmy czereśnie z drzewa rosnącego przy naszej harcówce, nawet nie wiem, czy ona dalej stoi. Zawsze barwa ognia kojarzyła mi się z nimi. Mimo tego, że czas mijał. Z całkiem zwyczajnego dziecka stałem się zupełnie typowym chłopcem, a potem statystycznym mężczyzną. Tylko ta cząstka we mnie, ta harcerska, była jakaś nietypowa. Wy też ją macie, widzę to po waszych oczach, bo nie wystarczy mundur, to trzeba mieć w sercu. A wy macie... Nie znudziliście się jeszcze? Druhenka kręci głową, że nie... To będę mówił dalej, wytrzymacie chwilkę... Co ja chciałem? Aha, po prostu nie zgubcie w tym całym pędzie tych ideałów, które teraz tak dobrze znacie. Dobrze być osobliwcem, który w sercu ogniska widzi kolor czereśni spod harcówki. Świat potrzebuje trochę wyobraźni, bez niej nie ma świata, znikają wszystkie barwy, które tak zachwycaly, a na ich miejsce wypiętrzają się monstrualne, szare miejskie wieżowce. Smutno jest tym, co mają wieżowce w sercu, bo nie ma tam już miejsca na gwiazdy, na grę świerszczy o zmierzchu, na poranną rosę. Jesteście doprawdy szczęściarzami, że tak przedstawiono wam ten świat. Tak, że teraz zauważacie to, co piękne, co mądre, pełne wartości... To kręta i trudna ścieżka to harcerskie życie, ale ta wędrówka skrada serca, sprawia, że się całkowicie wsiąka, wsiąka w połoniny, w górskie potoki, w niebo i chmurki ciągnące po nim jak skrzydlate owieczki... Ale cóż ja wam tak nudzę i nudzę. Pomyślcie – przyszedł, siadł, siedzi i gędzi jak jakiś poeta... Jak poeta rzuca dziwnymi metaforami, ale ja myślę, że rozumiecie.

Nikt nie chciał się odzywać. Ogień zaczął dogasać, drużynowy dał znak, by zawiązać krąg. Stali więc wszyscy, duzi i mali, całkiem nieszczególni za rękę z atypowymi, a wszystkie głowy pełne były nieuczesanych myśli. Chłopak w okularach zaczął grać na gitarze dobrze znaną wszystkim melodię, a pieśń poniosła się, odbijając echem od skalnych zboczy. Góry widziały tak wiele, chyba nic już ich nie zaskoczy. Nawet dziwne harcerskie ogniska przy schronisku, zakapiorzy i nietaktownie ciekawskie zuchy. Było już późno, zrobiło się sennie i mgliście, a może oni cały czas śnili?

– Jeszcze się tylko z wami pożegnam – rzekł na odchodne zakapior w zbyt dużym kapeluszu, do którego nóg łąsił się jeszcze zbłąkany psiak. – Pożegnam lewą dłonią, bo ona jest bliżej serca.

I odszedł, zniknął we mgle, a ogień już powoli dogasał, roznosząc wokół dziwną, słodką woń czereśni...